

Nie jesteśmy gotowi na katharsis. Rozmowa z Wojciechem Tomczykiem

O tym, co wspólnego ma talk-show Mariusza Szczygła w Polsce z dramatem o seryjnym mordercy oraz o tym, dlaczego jego sztuki nie pasują nikomu, mówi Wojciech Tomczyk w rozmowie z Kaliną Zalewską, której zapis ukazał się na portalu Culture.pl.

Kalina Zalewska (zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Teatr”): Jako autor dramatyczny debiutowałeś w 2002 roku. Byłeś wówczas scenarzystą filmów i seriali ze sporym dorobkiem. Co cię skłoniło do zwrotu w kierunku teatru i napisania "Wampira"?

Wojciech Tomczyk, dramaturg, scenarzysta, laureat Nagrody Literackiej „Skrzydła Dedala” za zbiór „Dramaty” wydany przez Teologię Polityczną: Nie byłem, nie jestem i mam nadzieję nigdy nie będę „uznanym autorem z dorobkiem”. Nazwisko nigdy niczego za mnie nie pisało, nie pisze i nie napisze. Za każdym razem debiutuję. Zawsze zaczynam od zera, od początku. Tym bardziej tak było wtedy. O ile dobrze pamiętam, napisałem sztukę teatralną, ponieważ w dusznej atmosferze początku tego stulecia w Polsce teatr wydawał mi się oazą wolności słowa. I być może jeszcze wówczas nią był. Napisałem „Wampira” właśnie ze względu na ową duszną atmosferę. Oględnie mówiąc – zapamiętałem komunę inaczej niż była ona wówczas prezentowana w obowiązującej narracji. Wtedy na serio próbowano zatrzeć różnicę między damą a ladacnicą, między katami i ofiarami.

„Wampir” jest rodzajem groteskowego kabaretu, w duchu PRL-owskiej estrady, z postacią Konferansjera, relacjonującego przebieg milicyjnego śledztwa w sprawie seryjnego mordercy. Jak jednak pokazujesz w sztuce, rzeczywistego mordercę uwolniono, a skazano na śmierć niewinnego człowieka i jego brata. Obnaża to fikcję wymiaru sprawiedliwości i pokazuje metody sprawowania władzy. Jak znalazłeś formę dla tej historii? Ta konwencja, bardzo pomysłowa i teatralna, pozwalająca na efektowne przejścia z jednego wątku do innego, wyrasta być może z takich filmów jak „Kabaret” Fosse’a, „Mefisto” Szabo i „Wodzirej” Falka. Czy one cię inspirowały?

Lubię dobre filmy, między innymi także te, które wymieniłaś. Jednak inspiruję się prawdziwym życiem, realnym światem. Jeśli inspiruję się sztuką, to tylko tą najgorszą. Tej na szczęście jest pod dostatkiem. W liceum zawieźli nas do Moskwy, w Moskwie na spektakl kabaretowy odbywający się w pałacu zjazdów na Kremlu. Zasłużony Artysta ZSRR opowiadał kilku tysiącom ludzi dowcipy o kelnerach. To było naprawdę coś. Przy okazji wyjaśniło się, co dzieje się w tej sali, kiedy nie przemawia w niej Breżniew. Jeśli dobrze pamiętam, to bezpośrednią inspirację dla ramy, w której osadziłem „Wampira”, dał mi emitowany wówczas talk-show Mariusz Szczygła (chodzi o „Na każdy temat” w TV Polsat, którego Szczygieł był współprowadzącym w latach 1995–2001 – *przyp. Culture.pl*). To było widowisko monumentalnie wprost okropne.

„Wampir” to jeden z niewielu dramatów, który w całości został poświęcony refleksji nad minionym ustrojem. Konwencja estradowego występu pozwoliła ci zaprezentować kilka wątków i wielu bohaterów, powstała opowieść o systemie. Jest w niej też

film kręcony na polecenie władz, do którego artysta pisze scenariusz, a naukowiec uzasadnia postępowanie fałszywego mordercy, co pokazuje, że każdy miał do odegrania swoją rolę. Sprawujący władzę nie przestrzegają żadnych reguł. Otwarcie to oceniasz, a przecież po 1989 roku zaczęły pojawiać się głosy, że nie było tak źle.

Po „Wampirze” udzieliłem kilkunastu wywiadów. Pewnego razu, po wyjściu ze studia radiowego, młoda dziennikarka zapytała mnie, czy poznałem pana XX, głównego architekta największych "pomyłek sądowych" lat 70., między innymi procesu rodziny Marchwickich. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie. Okazało się, że kilka lat wcześniej wynajmowała od niego mieszkanie. Taki zbieg okoliczności. Po tych kilku latach ciągle się go bała, a przecież tylko wynajmowała mieszkanie.

Oczywiście, ten człowiek do dziś dnia jest niepodważalnym autorytetem, chlubą środowisk prawniczych. Ta narracja ciągle obowiązuje. Marchwiccy nie zostali do dziś zrehabilitowani. I raczej nigdy nie zostaną oczyszczeni z zarzutów. Tacy nieważni ludzie nikogo nie obchodzą.

Pamiętam warszawski pokaz „Wampira”, zrealizowanego w 2003 roku w Teatrze Nowym w Zabrzu przez Marcina Sławińskiego, charakterystyczną elegancję kapitana Musiała i wiadro, do którego wpadały obierki z ziemniaków, którymi żywiła się rodzina przyszłego skazanego – prostego człowieka, który powinien skorzystać z dobrodziejstw PRL-u, jeśli takie były. Pamiętam też

bardzo długą, stojącą owację publiczności, wówczas rzadko spotykaną. Miałeś poczucie porozumienia z widownią, jednomyślności?

Ta owacja należała się twórcom przedstawienia. Wyobraźmy sobie tę sytuację. Oto przyjeżdża do Warszawy Teatr z Zabrzeża, czyli znikąd, pokazuje sztukę debiutanta, czyli nikogo. Widownię zapełnia środowisko, warszawskie tuzy sceny i ekranu. Andrzej Wajda osobiście gratuluje każdemu z wykonawców. Ale powiedzmy to otwarcie, zanim doszło do tej owacji i do tych gratulacji, Zbyszek Stryj, Marian Wiśniewski, Jola Niestrój, Danuta Lewandowska, Andrzej Lipski wraz z kolegami trzymali tę widownię przez ponad dwie godziny w bezustannym napięciu. I robili z nami, co chcieli. Taka była siła przedstawienia Marcina Sławińskiego. Tego nam nikt nie odbierze.

Nie czułem jedności i porozumienia z widownią. Jestem człowiekiem nieśmiałym. Kiedy mam iść do teatru na własną sztukę, popadam w rodzaj stuporu. To reakcja obronna organizmu. Szczerze mówiąc wolę fotel dentystyczny, może być nawet w dawnym stylu.

W zupełnie innej formie opowiadasz o PRL-u w „Norymberdze”. Prywatna rozmowa w mieszkaniu bohatera, rozmówcy w niemal intymnym kontakcie, bo bohater, jak się okazuje, wie wszystko o życiu młodej dziennikarki. Uchodzi ona za zdolną w zawodzie, ale bagatelizuje zagrożenie, jakie może wynikać z przemilczenia przeszłości, nawet funkcjonariuszy WSI. Wpisałeś w intrygę charakterystyczny dla nowej Polski sposób myślenia i dlatego to sam bohater musiał zażądać dla siebie sądu i kary. Przypuszczam w związku z tym, że Stefan Kołodziej to figura fikcyjna. Ale to

dawny żołnierz podziemia, złamany podczas śledztwa, może odzywa się w nim potrzeba elementarnego porządku, na pewno też dobrze wie, co zrobił. Po telewizyjnej premierze świetnego spektaklu Waldemara Krzystka (2006), z wybitną rolą Janusza Gajosa, wiadomo było, że to najbardziej intrygująca i ważna rozmowa w polskiej dramaturgii po 1989 roku. A zaczęło się, z tego, co wiem, od Ryszarda Kuklińskiego i kontrowersji wokół tej postaci. Jak od Kuklińskiego doszedłeś do Kołodzieja?

To była dość prosta droga. „Norymberga” jest osadzona w tradycji ustnej. Piszę o tym, co mi opowiadano lub czego sam byłem świadkiem. Kiedy Wanda Zwinogrodzka, kierująca wówczas Teatrem Telewizji, zaproponowała mi napisanie sztuki o Kuklińskim, bardzo się tym przejąłem. Ryszard Kukliński to kluczowa postać historii powszechnej drugiej połowy XX wieku. Ale, jak się okazało, to nie był mój temat. Przynajmniej nie wtedy. Okazało się, że nie jestem w stanie zrealizować zamówienia. Nie dałem rady. Oczywiście, zacząłem nawet to pisać. Potrzebowałem pierwowzoru do postaci drugiego planu, oficera kontrwywiadu. Wtedy przypomniałem sobie spotkanie sprzed kilku lat – rozmowę z bohaterem historii najnowszej. Może nie bohaterem, ale nienagannym polskim patriotą. To były dwie rozmowy, jedna w kawiarni hotelu Solec i kolejna – zdawkowa rozmowa telefoniczna, dzień później. Te rozmowy, przedziwne, nie dawały mi spokoju. Miałem poczucie, że człowiek, z którym rozmawiałem, nie był tym, za kogo się podawał. A raczej, że oprócz tego, kim był, był także kimś innym. Należę do dramatopisarzy, którzy rozmawiają ze swoimi postaciami. Inaczej się chyba nie da. Zacząłem zadawać pytania mojemu rozmówcy sprzed lat. Zrozumiałem, że został zwerbowany w celi śmierci. Tylko tak potrafiłem sobie wytłumaczyć jego dalsze, zadziwiające koleje losu. Tak się narodził Stefan Kołodziej. W tekście sztuki został fragment z tych naszych „rozmów” – kiedy Pułkownik sugeruje, że nie chce być

dominatorem, głównym bohaterem sztuki. Potem zresztą, w sztuce, zmienia zdanie w tej sprawie. Mniej więcej po miesiącu pracy w tekście pojawił się tytuł – padło słowo „Norymberga” i Pułkownik przestał nawet być bohaterem tytułowym.

Wiem, choćby z „Wampira”, że posiłkujesz się autentycznymi zdarzeniami, ale zmieniasz nazwiska bohaterów. Bohater "Norymbergi" doprowadził do samobójstwa ojca młodej dziennikarki, który w stanie wojennym nie chciał pacyfikować Stoczni Gdańskiej. Rzeczywiście, pierwsze czołgi, które wjechały tam 14 grudnia 1981, zostały ozdobione kwiatami, a ich załogi zjadły obiad ze stoczniowcami, ale te załogi wycofano, a 16 grudnia wjechały inne, które spełniły rozkaz. Zatem ktoś taki jak Michał Wizner istniał. Czy opowiadasz jego losy?

Nie, Michał Wizner nie ma pierwowzoru. Ktoś taki był, oficer, który zjadł obiad ze strajkującymi w stoczni. Słyszałem, że wielu oficerów Ludowego Wojska Polskiego identyfikowało się z nim, rozpoznawało w jego historii własne przeżycia. Stefana Kołodzieja również wielu ludzi spotkało na swojej drodze. Jak rozumiem, żyje i ma się dobrze.

Przejdźmy do „Bezkrólewia”, które otwiera tom Twoich „Dramatów”, wydanych półtora roku temu. Nikt tego tekstu, powstałego w 2010 roku, dotąd nie wystawił. Portretujesz w nim uciekających z kraju politycznych przywódców, którzy, jako rzecznicy ciepłej wody w kranie, podróżują wanną. Docierają do karczmy, prowadzonej przez tradycyjną polską rodzinę, wpadają na pomysł koronowania ojca rodu i powrotu z suwerenem do stolicy. Nowe otwarcie ma polegać na akcentowaniu patriotyzmu.

Przez pierwsze pięć lat nikt nie wystawił sztuki, bo politycy ci byli przy władzy, a przez następne, bo tę władzę stracili – nie wypada śmiać się z pokonanych, a twoja sztuka jest śmieszna. Czy spodziewałeś się takiego obrotu zdarzeń? Polaryzacji stanowisk, która uniemożliwi zaistnienie przedstawienia? Liczyłeś się z tym, że prawdopodobnie piszesz do szuflady?

To, że piszę do szuflady, było dla mnie bardziej niż oczywiste. Naprawdę nie liczyłem na to, że ktoś w Polsce wystawi sztukę o tym, że sprawowanie władzy jest ciężką pracą, by nie powiedzieć – służbą. I że politycy ponoszą odpowiedzialność za swoje czyny i słowa. Za pisanie takich rzeczy ponosi się konsekwencje. Tak dzieje się w Polsce. Wiedziałem o tym i mimo to napisałem „Bezkrólewie”. Ta sztuka jest niewygodna, nie pasuje właściwie nikomu. Zapewne nie jesteśmy jeszcze gotowi na katharsis. Strach pomyśleć, co musiałoby się wydarzyć, byśmy stali się na powrót wspólnotą.

W „Bezkrólewiu” portretujesz uciekających jako osoby wydziedziczone z tradycji, choć gotowe jej użyć, by odzyskać władzę. Ale jednocześnie napotkana rodzina zdaje się nie rozpoznawać tych polityków. Czy to efekt rozprężenia podczas zamieszek w kraju, czy podziału społecznego, który i nas może doprowadzić do tego, że będziemy się rozwijać w dwóch osobnych grupach?

W dwóch osobnych grupach będziemy się raczej zwiijać. I tak będzie. Górę wezmą jak zwykle zbiorowe i indywidualne egoizmy. W konsekwencji, to oczywiste, utracimy podmiotowość. Będziemy przesuwani z kąta w kąt, w najlepszym razie.

„Marszałek” to sztuka o Józefie Piłsudskim i jego koncepcji wojny prewencyjnej z Hitlerem, wywołanej przez Polskę w latach 30., kiedy Niemcy nie były jeszcze na nią gotowe, a w związku z tym Polska, i nie tylko ona, miałyby szansę na ocalenie, odwrócenie losu. To sztuka historyczna, ale nie tylko – można zastanawiać się nad współczesnymi paralelami. Mimo pierwszorzędnej roli Mariusza Bonaszewskiego i bardzo dobrych ról pozostałych aktorów, zwłaszcza Andrzeja Grabowskiego jako Aleksandra Prystora, oponenta Marszałka, właściwie nie podjęto dyskusji nad jej tezami, choć w stulecie Niepodległości w telewizyjnym spektaklu Krzysztofa Langa zaistniał portret wybitnego przywódcy. Miał on swoje śmieszności i wady, ale wysunął najodważniejszą i najmądrzejszą koncepcję, zdolną być może uratować Europę.

Nad „Marszałkiem” pracowałem długo i wytrwale. To niezwykle człowiek. Moim zdaniem Piłsudski ciągle, w osiemdziesiąt pięć lat po swojej śmierci, jest czynnym uczestnikiem polskiej polityki. Jednym z przejawów jego aktywności była moja sztuka. Ktoś musi przypominać ludziom o istnieniu imponderabiliów czy racji stanu. Może dlatego po emisji „Marszałka” nie było dyskusji. Część Polaków uznaje przywództwo Marszałka za oczywiste. Druga grupa woli udawać, że go nie ma.

Rozmawiała Kalina Zalewska

Wywiad ukazał się na portalu Culture.pl

„Dramaty” Wojciecha Tomczyka w księgarni Teologii Politycznej

„Felietony” Wojciecha Tomczyka w księgarni Teologii Politycznej